

Polsko-izraelska wojna o prawdę

31 stycznia 2018

Polska, jak mało kto na świecie, ma prawo do walki z oszczerczym terminem „polskie obozy śmierci”. Takowe nigdy nie istniały, ale od lat w debacie publicznej ten pogląd funkcjonuje. Nieoczekiwanie cios w tej sprawie padł ze strony naszego dotychczasowego sojusznika. Nowelizacja ustawy o IPN obudziła demony w Izraelu, stawiając pod znakiem zapytania lata przyjaźni polsko-izraelskiej.

Przez wiele lat, w wolnej Polsce, rządy od lewa do prawa musiały praktycznie co chwila reagować na pojawiające się na Zachodzie określenia „polskie obozy śmierci”. Termin tak głęboko zakorzenił się w zachodnim opinio communis, że używali go nawet największy przywódcy wolnego świata, m.in. Barack Obama. Lata dyplomacji i edukacji nie przyniosły skutku. Nie dziwi mnie zatem, że nacjonalistycznie nastawiony rząd postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Sejm przyjął niedawno uchwałę mającą penalizować używanie określeń o „polskich obozach śmierci”, ale nie to obecnie budzi kontrowersje w polskiej debacie. Ustawa zakłada bowiem karanie grzywną lub więzieniem za „sugerowanie współodpowiedzialności za Holocaust narodu polskiego”.

Nagle niczym deus ex machina na ustach wszystkich pojawił się wnet znienawidzony „szmalcownik”. Dla jednych jest on przykładem tego, że Polacy aktywnie i masowo brali udział w mordowaniu Żydów. Dla drugich jest to przykład nie reprezentujący państwa, a jedynie jednostkowe zbydlęcenie. Trudno jednoznacznie ocenić, kim w istocie był „szmalcownik”. Historyk Jan Grabowski zakładał, że szmalcownicy rekrutowali się spośród wszystkich warstw etnicznych i społecznych okupowanej Polski, a ich liczebność szacuje się na kilka tysięcy. Byli zatem obywatelami państwa polskiego i jako tacy

byli jego reprezentantami, dodając polską cegiełkę do dramatu Holocaustu. Szantażowali i oddawali na śmierć setki Żydów... ale i Polaków.

To trudna lekcja historii, o której nie wolno zapominać. Nie wolno jej też przekłamywać, a mam wrażenie, że od lat „polskiego szmalcownika” wykorzystuje się tylko po to, by obarczać Polskę winą jej własnego oprawcy – nazistowskich Niemiec. Co gorsze, powoli powstaje kłamliwy obraz pokazujący, że jedynym narodem winnym Holocaustu byli Polacy. Niemców coraz częściej opisuje się jako ponadnarodowy twór zwany „nazistami”, a cały Zachód zapomniał, że to m.in. Francja Vichy samodzielnie, bez niczyjej zachęty wspomagała niemiecką maszynę śmierci.

Spór o art. 55 zaniepokoił zarówno Polaków, jak i Izraelczyków przede wszystkim dlatego, że niektóre zapisy nowelizowanej ustawy mogą uniemożliwić jakiekolwiek badania czy publikacje dotyczące choćby wspomnianych „szmalcowników”. Rzecz w tym jednak, że w ustawie przewidziano dwa wyjątki od karania za publiczne poruszanie tematu współodpowiedzialności i współuczestnictwa narodu polskiego lub państwa polskiego w zbrodniach nazizmu – działalność kulturalna i działalność naukowa. Ustawa ma przede wszystkim walczyć z oczernianiem Polski w szeroko rozumianych mediach i to moim zdaniem krok w dobrą stronę. Pojawiają się głosy, że zamiast penalizacji, potrzebujemy dyplomacji. Ta jednak od lat nie przynosi skutku. Może *dura lex sed lex* odniesienie skutek.

Potrzebujemy jednak sojusznika w tej walce. Do tej pory był nim Izrael. Od lat przeciwnikiem określenia „polskie obozy śmierci” był Szewach Weiss czy Ronald Lauder, szef Światowego Kongresu Żydów. Jeszcze w listopadzie 2016 r. premier Szydło spotkała się z premierem Netanjahu i podpisali wspólne oświadczenie, o sprzeciwie wobec „używania błędnych terminów” takich jak m.in „polskie obozy”. Polska od lat była z kolei jednym z nielicznych krajów UE wspierających politykę Izraela na Bliskich Wschodzie. W czasach gdy europejskie liberalne i

lewicowe rządy przy każdej okazji wypominały Izraelczykom, że ich działania wobec Palestyńczyków to kalka tego, co Żydom robili Niemcy, Tel Awiw zawsze mógł liczyć na wsparcie Warszawy. Dziwić może zatem ten nagły wybuch polsko-izraelskiej wojny o prawdę historyczną, u podstaw której leży jedynie ludzka żądza władzy i najprawdopodobniej polityka wewnętrzna Izraela.

Bombę podłożył bowiem lider izraelskiej opozycyjnej partii Jesh Atid, Jair Lapid. To właśnie ten polityk jako pierwszy głośno zaprotestował przeciw nowej ustawie o IPN. Napisał na Twitterze: „zdecydowanie potępiam nową ustawę przyjętą w Polsce, która jest próbą zaprzeczenia udziału wielu polskich obywateli w Holocauście”. Teraz gdy premierzy Morawiecki i Netanjahu postanowili w ramach gaszenia dyplomatycznego pożaru podjąć konstruktywny dialog w sprawie nowej ustawy, Lapid dolał oliwy do tego ognia. Z mównicy w Knesecie powiedział wprost: „nie będziemy negocjować w sprawie pamięci o poległych. Ta ustawa musi zostać pogrzebana w polskiej ziemi, która przesiąkła krwią Żydów”. To kolejne bulwersujące słowa, które w żaden sposób nie przybliżają nas do porozumienia. Lapidowi jednak budują silny elektorat w kraju, któremu grożą przedterminowe wybory do Knesetu.

Żydowski polityk nie tyle zaatakował Polskę, co powiedział uwikłanemu w kilka skandali premierowi Netanjahu – sprawdzam! Wydaje się, że premier Izraela widząc co się święci, nie mógł nie poprzeć kontrowersyjnych słów Lapida i tym samym stworzył obraz Izraela, w którym nikt nie słyszał o polskim wkładzie w ratunek dla tysięcy Żydów. Niepokojący nie jest jednak fakt tej dyplomatycznej i politycznej gry, jaka wybuchła wokół „polskich obozów”, a to, że stanowią one pożywkę do rozbudzenia politycznych emocji w obu naszych krajach. Budzą się oto straszne demony nienawiści – Polacy atakują Żydów, Żydzi Polaków. Zegar tyka... a bomba nie została rozbrojona.

Autorstwo: Marcin Sałański

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)